

# SAM BOURNE



# PANTEON

WIELKA BRYTANIA, ROK 1940

SYN POTRZEBUJE OJCA

KRAJ POTRZEBUJE BOHATERA

# Rozdział 1

Oksford, 8 lipca 1940

Dzień w dzień, nie bacząc na piekielny ból, dawał sobie ostro w kość na tej trasie. Czy niebo było zasnuwane chmurami i padał deszcz, czy też, jak dziś, słońce lśniło oślepiająco, James Zennor wczesnym rankiem zasiadał do wiosła, by samotnie pokonywać Isis, czyli oksfordzką odnogę Tamizy.

Uwielbiał tę porę dnia. Powietrze było świeże, niebo czyste, panowała głęboka cisza. Przy brzegu bezszelestnie kręciło się stado kurek wodnych, które sprawiały wrażenie pogrążonych, jak James, w zadumie.

Łódka nabrała rozpędu; James, usztywniwszy nadgarstki, jak automat ciął wodę piórami wiosła, które wracały potem poziomo nad taflą. Patrzył na skrzącą się od słońca wodę. W tych chwilach, gdy dopiero zaczynał wyciskać z siebie siódme poty, gdy niebo było błękitne, a rzeński wietrzyk łagodnie muskał jego skórę, udawało mu się nieomal zapomnieć o tym, że jest wrakiem. Czuł się prawie tak samo jak dawniej. Jeśli nie liczyć pamiętnego roku, który spędził za granicą, bywał tutaj codziennie od dziesięciu lat, odkąd jeszcze jako student zakwalifikował się do drużyny wioślarskiej kolegium. Załapał się nawet jako wioślarz na pamiętne regaty, w których Oksford o włos zaledwie pokonał Cambridge. To była jednak przeszłość. Teraz pozostał mu już tylko wyścig z samym sobą.

Rozejrzał się wokół, ale nikogo jeszcze nie było. Kiedy zacznie się rok akademicki, o tej porze dnia co ambitniejsze osady będą pomykać po rzece, szykując się do tradycyjnych regat wioślarskich Torpids albo Eights i przypominając mu o tym, że i on kiedyś był młody. James Zennor nie miał jeszcze trzydziestki, ale przeszedł tak wiele, że czuł się jak pięćdziesięciolatek.

Mrużąc oczy, spojrzął w górę, napawając się chwilowym oślepieniem. Kiedy odzyskał wzrok, rysowały się przed nim drzewa przy ścieżce, którą lubili przechadzać się z Florence, gdy nie było jeszcze na świecie Harry'ego, później zresztą też. James starał się przyprowadzać tutaj chłopca z nadzieją, że mały również zakocha się w rzece. Niestety, w ostatnich miesiącach Harry zrobił się niespokojny – gdy tylko zbliżali się do wody, kurczowo czepiał się ręki Florence. Jednak James wierzył, że to minie. W taki dzień jak dziś człowiek oczekiwał samych podarków losu.

Jego myśli pobiegły ku synkowi. Harry, który za dwa miesiące kończył trzy latka, pewnie spał jeszcze mocno, w jednej ręczce ściskając Śnieżka, białego misia, którego zawsze brał ze sobą do łóżka. W takiej pozycji zostawił go James o poranku, kiedy wymykał się z domu na poranny trening. Wiele przeszli z Florence, nie da się jednak zaprzeczyć, że synek im się udał.

To, co zawsze spadło na niego zaraz po tym, gdy dotarł do śluzu w Iffley i zawrócił. Lewe ramię zaczęło mu dawać do wiwatu. To, że objawy były dobrze znane, nie znaczyło bynajmniej, że James się na nie uodpornił: ból wwierał się w ciało jak pęk rozżarzonych do czerwoności szpil. Codziennie budził się z nadzieją, że tym razem będzie inaczej – ból odezwie się później, a może nawet wcale. Tego ranka, przy tak cudownej pogodzie, łudził się bardziej niż zwykle. Płynąc jednak w stronę mostu Folly Bridge, wiedział już, że wszystko potoczy się bez zmian.

Próbował koncentrować się na krótkich upojnych chwilach, kiedy pióra jego wiosel wynurzały się z odpornej wody, a on spinał się do kolejnego ataku. Próbował sobie wyobrazić chłód rzeki, kojący dotyk wody na rozpalonej skórze.

Każde pociągnięcie wiosel rozsadzało mu płuca, własny zdyszany oddech dobiegał go jakby z oddali, za to serce hałasowało niczym silnik na zbyt wysokich obrotach.

Łódź pruća po wodzie, która bezgłośnie rozstępowała się przed długim, smukłym dziobem. Wiedział, że z brzegu wydaje się, iż łódź porusza się bez wysiłku. Dobra osada wioślarska zawsze sprawiała wrażenie, jakby istoty ludzkie, inwestując całą energię w osiągnięcie wspólnego celu, zespoliły się w jeden sprawny mechanizm, przed którym woda musi się ugiąć.

Jedynki rzadko wyglądały tak atrakcyjnie; samotny wioślarz nie osiąga równie imponującego tempa ani koordynacji. James podejrzewał, że jego wiosłowanie nie wygląda zbyt elegancko, czemu winny był uszkodzony lewy obojczyk. Lewa ręka Jamesa zawsze już będzie słabsza od prawej, wskutek czego pracują nierównomiernie. Stale miał wrażenie, że jego łódź porusza się po wodzie zygzakami, choć wielokrotnie zapewniano go, że tylko mu się wydaje.

Westchnął głęboko, żeby zaczerpnąć tlenu, i spojrzął za siebie. Folly Bridge majaczył już w oddali. Kiedy dotrze do mostu, powiosłuje wodami Isis do służu w Iffley i z powrotem i tak trzykrotnie, pokonując w sumie siedem kilometrów. Jego ciało domagało się wypoczynku; pokonał już swój codzienny, rutynowy dystans. Ale nie potrafił zapomnieć o mężczyznach – rówieśnikach i młodszych – którzy walczyli w Europie, ani o pilotach sposobiących się do obrony nieba nad Anglią, gotowych oddać życie w zapowiadanej w przemówieniu nowego premiera „bitwie o Wielką Brytanię”. Każdy ruch wiosel uświadamiał mu, jak nędzne są jego wysiłki w porównaniu z ich bohaterstwem i że w obliczu ich najwyższej

ofiary powinien przynajmniej...

Ból zaostrzył się nagle i stał się nieznośny; Jamesa kłuło teraz, jakby mu się odłupał kawałek kości. Cierpiał straszliwe katusze.

Zacisnął szczęki. Żeby odwrócić uwagę od bólu, zmusił się do odtworzenia w pamięci wiadomości wysłuchanych wieczorem w radiu, na których czoło wysuwała się informacja o zatopieniu przez Brytyjczyków francuskiej floty u wybrzeży Algierii. Taki właśnie był Churchill – szedł na całość. W odróżnieniu od przekłętego durnia Chamberlaina rozumiał, że czas nagli i nie ma się co patyczkować. Teraz, gdy Paryż padł, Niemcy za chwilę przejmą francuskie okręty, więc należało je posłać na dno. Naturalnie Francuzi mieli na to inny punkt widzenia: wpadli we wściekłość, wzajemnym oskarżeniom nie było końca.

Ramię Jamesa wysyłało rozpaczliwe sygnały, ale starał się nie zwracać na nie uwagi. Co tam jeszcze mówili? BBC zwykle zaczynało od jakiejś dobrej wiadomości, wykorzystując ją jako przeciwwagę dla gorszych. Zaraz, zaraz: jakąż to gorzką pigułkę miała wczoraj osłodzić informacja o zatopieniu francuskiej floty? Wściekły ból targnął włóknami nerwowymi Jamesa, on jednak postanowił się nie poddawać. A, już sobie przypomniał: Wyspy Normandzkie. Sark poddała się dwa dni po Alderney: Wyspy Normandzkie znalazły się pod okupacją niemiecką. Przeżył wstrząs na wiadomość o tym. Nigdy nie był na wyspach, ale dorastał na południowym wybrzeżu Anglii ze świadomością, że wystarczy wskoczyć na prom, by znaleźć się na Jersey. Mieszkańcy wysp mówili po angielsku. W ciągu zaledwie kilku ostatnich tygodni swastyka załopotała nad Norwegią, Francją, Belgią i Holandią; teraz dołączył do nich fragment należący do Korony brytyjskiej. Hitler był coraz bliżej.

James wyjął wiosła z wody, pozwalając łodzi dryfować po gładkiej tafli Isis. Westchnął z ulgą; dopiero kiedy stado łysek

rozpierzchło się w popłochu, zorientował się, że westchnienie było jękiem bólu. Mężczyzna idący ścieżką z naprzeciwka zerknął na niego nerwowo, po czym przyspieszył kroku, wyraźnie przestraszony.

James dobił do brzegu, jak najbliżej szopy na łodzie, po czym wygramolił się na suchy ląd, zbierając siły do najtrudniejszego etapu porannego treningu. Schyliwszy się, złapał za pętlę na końcu sznura przywiązanego do dzioba i zdrową ręką zaczął wyciągać łódź z wody. Raz, dwa, trzy... chciało mu się wyc z wysiłku... i już, udało się. Zataczając się, zaciągnął łódź do szopy i wciągnął na stojak.

Potem przez chwilę stał w miejscu. Patrząc w niebo, próbował złapać oddech. Chabrowy błękit nieba nagle wydał mu się niecnym oszustwem. Niebo nad Wielką Brytanią zmieniło się w pole bitwy, noc w noc w miastach wyły syreny, ostrzegając przed nalotem. Raptem parę dni temu niemieckie samoloty zbombardowały w nocy Cardiff. Niebo nad Anglią nie miało prawa wyglądać jak z obrazka.

Szybkim krokiem wyminął szopy z łodziami, należące do poszczególnych kolegów: St John's, Balliol, New i tak dalej; były pozamykane i puste. Uprzytomniwszy sobie swój los, kolejny raz zaklął pod nosem – te przedłużające się wakacje doskwierały mu bardziej niż wojna.

Dotarłszy do słupa, przy którym zostawił rower, przerzucił nogę nad siodełkiem i zaczął zawzięcie pedałowac, rozkoszując się dynamicznym ruchem, tak różnym od monotonnych pociągnięć wiosel. Wjechał pod górę na spadzisty, półokrągły mostek, przemknął przez łąki Christ Church, mijając jedynie pasące się krowy, które od czasu wprowadzenia racji żywnościowych budziły skojarzenia nie tylko estetyczne, ale i kulinarne. Zauważył też poletka zaorane pod sadzenie kartofli. Tak wyglądał wojenny Oksford: każda piędz ogródków przydomowych i trawników została przerobiona na warzywnik, żeby uzupełnić niedobory żywności w kraju.

Popedałował między Merton a Corpus, potem podjechał pod górę koło Oriel i znalazł się na High Street. O tej porze budynki uniwersyteckie świeciły pustką, choć wiele z nich miało lada chwila zaludnić się wraz z nastaniem kolejnego dnia obowiązkowej służby wojskowej. Skręcając w prawo, w stronę St Giles, starał się ominąć wzrokiem pomnik Poległych. Ruszył na północ w stronę domu.

Dochodziła dopiero siódma i ruch był jeszcze umiarkowany. Ale nawet w godzinach szczytu, z powodu racjonowania benzyny, ruch nigdy nie osiągał poziomu sprzed roku. James słyszał o pewnym łebskim gościu, który radził sobie, lejąc do baku mieszankę whisky i parafiny – narzekał ponoć, że jego auto cuchnie teraz, jakby się w nim odlał zapalacz latarni ulicznych – sytuacja wskazywała jednak na to, że niewielu automobilistów oksfordzkich zdecydowało się na równie ryzykowny krok. Tych, którzy poważyli się na to, czekały kontrole u wylotu dróg na południe, północ, wschód i zachód od miasta – blokady dróg dostarczały władzom informacji na temat wjeżdżających i wyjeżdżających, jakby Oksford był bazą wojskową, a nie miastem uniwersyteckim. Blokadę ustawiono nawet między Pembroke a Christ Church. Na szczęście rowerzyści nie wzbudzali większego zainteresowania.

Naturalnie nie wolno było zapominać o tym, że jest wojna. Opatulone w mnisie kaptury światła sygnalizacyjne na skrzyżowaniach były tylko jedną z wielu zmian podyktowanych zaciemnieniem. Jeszcze bardziej rzucał się w oczy zupełny brak znaków drogowych i tablic z nazwami ulic, które pousuwano gwoli dezorientacji ewentualnych najeźdźców. Niech szkopy łamią sobie głowę, co jest gdzie w Oksfordzie.

Ramię znowu zaczęło się dawać Jamesowi we znaki. Spojrzał na zegarek i pogrążył się w obliczeniach, które miały na celu odwrócić jego uwagę od bólu. Jeśli da ostro w pedał,

powinien dotrzeć do domu w cztery i pół minuty.

Kiedy mknął po Banbury Road, aż wiatr świstał mu w uszach, poczuł wilczy głód. Żałosne dziesięć dekagramów: to był cały jego przydział bekonu na ten tydzień. Tyle potrafił bez trudu spałaszować na jedno śniadanie! Jedno jajko na trzy i pół doby to też tyle co nic.

Wreszcie zobaczył przed sobą wylot Parks Road. Na rogu stał wielki czarny samochód z włączonym silnikiem.

• • •

Florence spojrzała na synka, który siedział przy kuchennym stole na krześle wyłożonym stertą poduszek, żeby mógł dosięgnąć talerza. Ale grzanka z margaryną leżała prawie nietknięta. Z ogryzkiem czerwonej kredki w dłoni, Harry nachylał się nad blokiem rysunkowym.

– To nie potrwa już długo, przysięgam, Harry.

Kolejny raz wyciągała jedną po drugiej szuflady kuchenne, przeglądając pospiesznie ich zawartość, po czym zatrząskiwała je z powrotem. Gdzie się podział, u diabła?

Wszystko było gotowe: starannie zapakowana walizka, palta podróżne, solidne buty. Zachowała najwyższą ostrożność, wciskając paszport w głąb szuflady swojej komody, między bieliznę, a więc w rewiry, w które James raczej się nie zapuszczał. Jednak kiedy już prawie godzinę temu sięgnęła do szuflady, paszportu nie było. Przekonała się o tym, gdy już wyleżała się z zamkniętymi oczami, udając, że śpi, podczas gdy James mył się, ubierał, a w końcu wyszedł pływać. Leżała bez ruchu, przysłuchując się toalecie porannej męża. Czekala, aż zamkna się za nim drzwi wejściowe. Potem, patrząc na budzik na stoliku nocnym, odczekała jeszcze dwie minuty, na wypadek gdyby James po coś wrócił. Uznawszy, że niebezpieczeństwo minęło, wstała z łóżka i przeszła do następnego punktu programu. Jednak w szufladzie nie było śladu paszportu. Czyżby James jakimś cudem ją



przejrzał i zabrał dokument? Ale skoro się domyślił, czemu nie dał nic po sobie znać? Czyżby zastawił na nią jakąś pułapkę?

Zerknęła na Harry'ego. Pochylony nad blokiem rysował z przejęciem. Przystanęła za nim, patrząc ponad jego główką na kartkę, i nagle ścisnęło ją w gardle.

– Co to jest, kochanie?

Harry podniósł na nią wzrok, a jego oczy wyglądały jak dwa błękitne jeziorka. Florence wyczytała w nich głęboki żal, ale zaraz zreflektowała się, że widzi w oczach synka odbicie własnej postaci.

– To nasz dom – powiedział Harry niskim, schrypniętym głosem, niespotykanym u dzieci w jego wieku, za to bardzo podobnym do głosu Jamesa. – Ja jestem w środku – wyjaśnił, pokazując kontur, w którym z trudem mogła dopatrzeć się okna. – A tu jesteś ty z tatusiem. – Pulchny paluszek wskazał kolejny niewyraźny kształt.

Florence poczuła, że oczy ją szczypią.

– Śliczny obrazek – pochwaliła, siląc się na entuzjastyczny ton. – Piękny. – To był już trzeci dom, jaki synek narysował w ciągu ostatnich dwudziestu minut.

Podjęła poszukiwania, starając się nie myśleć o Harrym i jego rysunku. Bała się, że może się rozmyślić. Gdzie, na Boga, położyła ten paszport?

Może w nerwach go przeoczyła? Musi postępować bardziej metodycznie. Po raz trzeci zaczęła przeglądać szuflady kuchenne. Tym razem wyjęła z najwyższej koszyk na sztuce i dopiero kiedy się przekonała, że paszportu tam nie ma, przeszła do kolejnej. Ocieplacze na imbryk, serwetki, drewniana łyżka, zapasowa latarka i paczka nowych baterii. W najniższej szufladzie spoczywały męskie akcesoria Jamesa: śrubokręty, obcęgi, klucz francuski, puszka smaru do rowerów i kolejny zapas baterii do latarki. Od wybuchu wojny w domu, gdziekolwiek spojrzeł, leżały baterie. Ale paszportu jak nie

było, tak nie było.

Zerknęła na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Muszą wyjść najpóźniej o siódmej. James wracał zwykle kwadrans po siódmej. Nie wolno jej tracić głowy.

Wbiegła do gabinetu Jamesa, gdzie panował straszliwy bałagan. Wszędzie piętrzyły się niechlujnie książki i papiery. Do tego komplet numerów „Journal of Experimental Psychology”. Dźwignęła największą stertę i ostrożnie przełożyła na krzesło. Podniosła lutowy numer pisma „New Statesman” z okładką upstrzoną obficie odciskami po kubku z kawą. Pod spodem leżała „Tribune”, a obok paczka listów, mocno sfatygowany egzemplarz *W holdzie dla Katalonii* George’a Orwella – James, który poznał pisarza w Hiszpanii, zwykł go nazywać Erikiem – oprawione roczniki almanachu krykietowego, ale nigdzie ani śladu paszportu. Wycinek z „Daily Sketch” sprzed tygodnia: *Wiek poborowy podniesiony do trzydziestego szóstego roku życia*, głosił nagłówek. Była za pięć siódma.

– Mamusiu – dobiegł ją głosik z kuchni.

– Później, Harry.

– Mamusiu! – Ton był naglący.

– Mamusia jest zajęta. – Myszkowała teraz w szufladzie biurka między rolkami taśmy maszynowej, spinaczami i zapasową bibułą. – Może byś sprawdził, czy Śnieżek ma wygodnie w plecaku?

– Jakiś pan stoi pod drzwiami.

Zamarła. Czy to możliwe, by James wrócił już, o tyle wcześniej niż zwykle? Raczej nie, przecież wszedłby do środka. Po co miałby sterczeć pod drzwiami? Chyba że zapomniał kluczy. Nie zadzwonił, żeby nie zbudzić Harry’ego. Boże, co robić?

Na palcach wemknęła się do holu. Natychmiast przez kolorowe szkło u góry drzwi poznała wysoką, sprężystą postać Leonarda. Westchnęła z ulgą. Otworzyła drzwi.

Wybrylantynowana fryzura gościa układała się nienagannie, ale twarz miał czerwoną z wysiłku.

– Skończył wcześniej niż zwykle. Widziałem go przed chwilą.

– Co?

– Biegłem tu na złamanie karku. James skończył trening, musiał dzisiaj wiosłować szybciej niż zazwyczaj. Albo pomyliłem się w obliczeniach. Tak czy owak, już skończył. Dotrze tutaj za dziesięć, góra piętnaście minut.

Przez twarz Florence przemknął nerwowy grymas.

– Nie możesz tak narażać innych – skarcił ją, mylnie interpretując wyraz jej twarzy. – To zbyt poważna sprawa.

– Poczekaj chwilę.

Zdesperowana wyszarpnęła kolejne szuflady biurka, szperając między bibułkami do papierosów, pustymi pudełkami po zapalkach i zagranicznymi monetami, głównie z Hiszpanii. Ruszyła w stronę półek, wyciągając pojedyncze książki, a potem całe naręczna, w tym pomarańczowy komplet wydawnictw Left Book Clubu, i rzucając je na podłogę. Paszportu jak nie było, tak nie było.

Harry zaczął płakać, być może na widok Leonarda – nieznanego mężczyzny na progu ich domu. A może i jemu udzieliła się jej z trudem hamowana panika. Nie miała jednak czasu zawracać sobie głowy dzieckiem. Pognała do sypialni. Naruszając niepisane małżeńskie tabu, już wcześniej zajrzała do szafy Jamesa, teraz jednak postanowiła przeszukać ją dokładniej. Przesunęła na drążku wieszaki z marynarkami i kurtkami z ciemnego sukna, potem ukłękła, wodząc dłońmi po drewnianej podłodze szafy. Nagle coś potrąciła.

Pudełko po butach. Z nadzieją zdarła pokrywkę, ale w środku leżała tylko para skórzanych półbutów, starannie owiniętych z powrotem w bibułkę, tych samych, uświadomiła sobie z wyrzutem, które miał na sobie na ich ślubie, czy raczej przyjęciu weselnym, które wydali w Anglii pół roku po

zawarcia małżeństwa.

Jakiś cień padł na nią. Odwróciła się i zobaczyła Harry'ego, który zsunął się z krzesła i stał teraz, dygocząc, w progu.

– Mamusiu? – Po policzkach ciekły mu łzy.

Poczuła, że ją także pieką oczy. Całe tygodnie przygotowań za chwilę wezmą w łeb.

– Nie płacz, kochanie. Zaraz wszystko będzie dobrze.

Szybko, szybko! Porwała taboret stojący przy drzwiach łazienki i wspięła się, żeby zajrzeć na górną półkę szafy z ubraniami męża. Leżały tam dwa grube, nienoszone swetry. Rozsunęła je, ale nic nie znalazła. Już miała dać za wygraną, kiedy jej wzrok przykuł majaczący brunatny zarys na tle brązowego drewna. Wielkie rozczarowanie: znów jakaś cholerna książka w marmurkowej okładce bez napisu, wydzielająca woń zetłatego papieru. Spomiędzy stronic wypadła fotografia. Harry porwał ją, wpatrując się w przystojnego, młodego mężczyznę w mundurze, otoczonego wianuszkami towarzyszy, z których każdy dzierżył karabin.

– Tatus! – wykrzyknął radośnie.

Florence poczuła w ustach gorycz klęski. James musiał znaleźć paszport i wziąć go ze sobą nad rzekę, żeby z niej okrutnie zadrwić.

W ostatnim odruchu desperacji zawróciła do punktu wyjścia: szuflady ze swoją bielizną. Wyjmowała z niej wszystko, sztuka po sztuce, jakby w pedanterii kryła się ostatnia deska ratunku. Wzięła do ręki parę czarnych pończoch i nagle serce zabiło jej mocniej. Potrząsnęła nimi i spomiędzy warstw bawełny wypadła zaplątana w nie, nie wiedzieć jak, książeczka w sztywnej, granatowej oprawie. Jak mogła to przeoczyć? Paszport Florence tkwił dokładnie tam, gdzie go ukryła.

– Widzisz? Mówiłam, że wszystko będzie dobrze! – zwróciła się do Harry'ego, głos jej się lekko łamał. Jednym ruchem podniosła synka i posadziła okrakiem na prawym biodrze. Lewą ręką dźwignęła walizkę, która od godziny

czekała w sieni. Wyszła za próg do Leonarda. Nie było czasu na oglądanie się za siebie. Piąstka Harry'ego wciąż zaciskała się kurczowo na zdjęciu ojca.

## Rozdział 2

### Barcelona, cztery lata wcześniej

Do dnia ślubu James nie widział Florence obnażonej bardziej niż w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Nie była to całkiem prawda, ale lubił powtarzać tę historię – naturalnie w męskim towarzystwie.

Poznali się w Barcelonie, w upalnym lipcu 1936 roku. Nigdy wcześniej nie był w Hiszpanii. Po prawdzie nigdzie wcześniej nie był. Spacerował po mieście, po jego wspaniałych ulicach, chłonąc widoki szeroko otwartymi oczami; czuł, jak pierś mu pęka z dumy i podniecenia. Na fasadach budynków, o dziwnych oknach przypominających oko ze spływającą łzą, wywieszono flagi i transparenty na powitanie Jamesa i sześciu tysięcy cudzoziemców przybyłych z okazji *Olimpiada Popular*: Olimpiady Ludowej. Oficjalna flaga wydarzenia przedstawiała trzy heroiczne, muskularne postaci – czerwoną, żółtą i czarną – dzierżące pospołu sztandar. James nie od razu zauważył, że przynajmniej jedna z sylwetek domniemanych sportowców w godle należy do kobiety; druga postać przedstawiała Indianina, trzecia, niewątpliwie, Murzyna.

Nikogo to nie dziwiło, jako że były to alternatywne igrzyska, a ich zadaniem było odwrócenie uwagi od tych oficjalnych, które rozpoczynały się tydzień później, ponad tysiąc pięćset kilometrów na północny wschód od Barcelony,

w Berlinie. O ile olimpiada berlińska miała być demonstracją wyższości rasy aryjskiej, o tyle Olimpiada Ludowa zapowiadała się jako święto socjalistów, idealistów i radykałów, którym przekonania nie pozwalały uczestniczyć w faszystowskim cyrku Hitlera.

– Wiem jedno, na pewno nie wygramy – powiedział James do Harry’ego, wysiadając z pociągu po osiemnastu godzinach podróży rozpoczętej na Victoria Station. – Nie mamy szans w tym upale. Przywykliśmy do porannych przymrozków i nadržecznych mgieł, a tutaj lądujemy w jakichś przeklętych tropikach.

– Dobra, Zennor, posłuchaj. Gdybym potrzebował czarnowidzów, wziąłbym ze sobą Simkinsa albo tego drugiego pacana, Lightfoota. Zabrałem cię z powodu twoich zdolności retorycznych. Jesteś tu, żeby dodawać nam ducha, popychać naszą drużynę do zwycięstwa!

– A ja sądziłem, że znalazłem się tutaj, bo jestem cholernie dobrym wioślarzem.

– Jesteś, jesteś. Skończ więc z tą swoją malkontencką gadką. Chyba rozumiesz, że naszym brytyjskim splinem nie rozbudzimy rewolucyjnego ducha w masach.

Harry Knox, absolwent Winchester i Balliol, dziedziczny baronet i swego czasu założyciel... zaraz, co to było? Chyba ILP, Niezależnej Partii Pracy, ale równie dobrze mogła to być inna socjalistyczna organizacja o innym akronimie, trudno to wszystko spamiętać. Wyjazd do Barcelony był pomysłem Knoxa: miał im zrekompensować fakt, że nie zakwalifikowali się na prawdziwe igrzyska – Knox zabraniał wszelkich porównań między imprezami – i dawał szansę przeciwstawienia się faszyzmowi. James, który spodziewał się, że zostanie wybrany do osady wioślarskiej reprezentującej Wielką Brytanię w Berlinie, na pociechę przyjechał do Barcelony.

Jako sportowcy zagraniczni zostali skierowani do hotelu

Oímpico przy Plaza de España, w którego holu kłębiły się nowo przybyłe ekipy ze Stanów Zjednoczonych, Holandii, Belgii i francuskiej Algierii. Większość, podobnie jak Harry i James, została wydelegowana nie przez swój rząd, lecz przez związek zawodowy lub partię socjalistyczną. James raczej powątpiewał w to, by procedura selekcji była równie rygorystyczna, jak w przypadku oficjalnych igrzysk.

– Tu przecież chodzi przede wszystkim o coś innego – podsumował Harry.

Przez cały tydzień nie słabły nastroje rozrywkowe. Drzwi ich pokoju się nie zamykały: nieustannie wlewał się przez nie strumień plotkarzy marksistów z Danii i sprinterów anarchistów z Francji. W całym budynku odbywała się jedna wielka, niekończąca się balanga. Ledwie James odstawił swoją walizkę, gdy potężny kulomiot, jak się później okazało wydalony z ojczystych Włoch za poglądy komunistyczne, wetknął mu flaszkę w rękę, zachęcając, by nie sączył, tylko wypił duszkiem. James zerknął na nalepkę – Sangre de Toro, „bycza krew” – i zastosował się do rady. Wino miało przydymiony smak i wyczuwalną nutę owocową. Wtedy nie przypało mu szczególnie do gustu, ale później smak katalońskiego wina miał mu się już zawsze kojarzyć z wolnością.

Na koniec prywatka wylała się na ulicę, gdzie przenosili się do kolejnych tapas barów. James nie przypominał sobie, by płacił za jedzenie lub picie, jakby wszyscy właściciele barcelońskich knajp byli wdzięczni przyjezdnym za gest solidarności pod adresem ich raczkującej republiki, gest, na który nie zdobył się pięć lat wcześniej Międzynarodowy Komitet Olimpijski, odrzucając kandydaturę Barcelony na rzecz Berlina.

Podjadał właśnie z talerza calcots, szalotkę grillowaną na węglu drzewnym, coś, czego nie tknąłby w Anglii z powodu różnic kulturowych, kiedy zjawił się Harry, już ostro spieczony



słońcem, z kołami potu pod pachami.

– Chodzą słuchy, że damska drużyna pływacka trenuje po nocach – rzucił z lubieżnym uśmiechem.

– Czyżby cię aż tak przypiliło, stary? – burknął James, siląc się na nonszalancję. Miał już za sobą trochę doświadczeń męsko-damskich, podczas gdy z Harrym na dwoje babka wróżyła. James większość drugiego roku w Oksfordzie spędził, prowadząc się z Daisy, blondynką o smukłej szyi, studiującą filologię klasyczną w St Hugh's: udało mu się niewprawnie zapoznać z jej ciałem, głównie przez ubranie, ale cnotę stracił za sprawą Eileen, która kształciła się w szkole dla sekretarek przy Woodstock Road. Nie miała delikatnych rysów jak Daisy, za to krągłejsze kształty, i jak James pochodziła z prowincji – z Nottingham. Umawiali się w każdy środowy wieczór, czasem też w soboty chodzili na nocne seanse filmowe. Nigdy jej nie pokazał kolegom uniwersyteckim, traktując bardziej jak kochankę niż dziewczynę. Było mu teraz trochę wstyd, kiedy myślał o tym, jak bardzo ukrywał się z tą znajomością, ale Eileen nigdy nie zgłaszała obiekcji. Za to w środy, około wpół do siódmej wieczorem, kiedy jej współlokatorka wychodziła na próby chóru, ochoczo wciągała go do swojego pokoju – i do łóżka.

– Możesz zostać, musu nie ma – powiedział Harry lekko urażony rezerwą Jamesa. – Posiedź sobie z nosem w jakiejś naukowej lekturze.

– Skoro tak ci na tym zależy, pójdę, ale tylko dla towarzystwa.

Choć raz sensacja Knoxa potwierdziła się. Kiedy dotarli na odkrytą pływalnię, zdążył się tam już zgromadzić spory tłum. W większości składał się z mężczyzn, choć były również rodziny, które po kolacji wyszły przespacerować się w parną noc, małe dzieci z lodami w rączkach, często niesione na barana przez swoich ojców – wszyscy gapili się na pływaczki w księżycowej poświacie.